NUMER 19. DNIA 20. MAJA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

U grobu hetmana.

Pisma codzienne przyniosły onego czasu wiadomość o splondrowaniu grobu hetmana Stanisława Żółkiewskiego, w podziemiach kościoła parafjalnego w Żółkwi. Wiadomo, że grono konserwatorów Galicji wschodniej spowodowało osobną komisję, która w dniu 20. lipca z. r. zeszła do krypty pod kościołem farnym żółkiewskim i znalazła tam ośm trumien w dzikim nieładzie porzuconych i barbarzyńską ręką obrabowanych ze wszystkich kosztowności. Trudno nawet było początkowo skonstatować, która z tych trumien kryje zwłoki wielkiego bohatera z pod Cecory, tembardziej, że już z badań ks. Sadoka Barącza wiadomo było, że wierzchnią trumnę Żółkiewskiego cynową zabrano i przetopiono na lichtarze i dudy do organów.

Dopiero szczęśliwy przypadek pozwolił dowiedzieć się ponad wszelką wątpliwość, że trumna wyżłobiona w kłodzie dębowej, smołą oblana i czarnem suknem obita, w której znaleziono garść prochu wapiennego z kości, jedwabną czapeczkę (myckę) w okolicach głowy i kilka jeszcze szczątków śmiertelnych, jest tą, w której zwłoki hetmana przywieziono z pobojowiska pod Cecorą, a same te resztki, to śmiertelne szczątki hetmańskie. Stwierdził to mianowicie 80-letni murarz Jan Oziembłowski, ten sam, który w szóstym dziesiątku lat ubiegłego stulecia odkrył groby Jakóba i Konstantego Sobieskich i pracował około krypty podziemnej, w której znalazły się owe trumny.

Na wiadomość o tem uchwalił Sejm jednomyślnie kwotę 1000 koron na nową trumnę dla prochów hetmana, grono konserwatorów przeznaczyło na ten cel 500 koron, a nadto ogłosiło obecnie wszystkie protokoły, odnoszące się do sprawy otwarcia krypty, wraz z odezwą do publiczności, o dalsze składki na srebrną urnę, w której pochowane zostaną uroczyście zwłoki Stanisława Żółkiewskiego

Odezwę tę poprze chyba najlepiej widok krypty, w której złożone były zwłoki hetmana w kościele farnym w Żółkwi, bezpośrednio po jej otwarciu 20. lipca z. r. Fotografja, której reprodukcję obok podajemy, dokonaną została przy świetle magnezjowem i uwiecznia barbarzyństwo niedawnych czasów, które potrafiły zostawić grobowiec największego z bohaterów Polski w takim oto zniszczeniu, splondrowaniu i nieładzie. Uczcić sprofanowane szczątki hetmana Stanisława Żółkiewskiego i na nowo je pochować, jest obowiązkiem wszystkich, którym drogie są pamiątki narodowej chwały.

Dwór w Niańkowie.

(Z ZIEMI NOWOGRÓDZKIEJ.)

(Dokończenie).

Lubię stare ogrody. Wszystko tu rozrasta się swobodnie, wyciąga ku słońcu ramiona, rzeźby splatają się w linjach najbogatszej fantazji, a głowice potężnych wierzchołków urągają burzom najzuchwalszym. W głębi, po kątach ogrodu, choiny, olchy i leszczyny, czerwony głóg i grusze zdziczałe, splecione chmielem stoją nieprzeniknione i niedostępne — i Bóg wie, co tam się kryje w ich głębi, jakie tam leżą wspomnienia, jakie echa dawnych, przedawnych chwil.

I gród Niańkowa był także takim starym opuszczonym nieco ogrodem; i tu także czas, cisza i oddalenie rozsnuwały swoje zadumy, a melancholja wieczoru dodawała w tej chwili nut sobie właściwych. Szliśmy długo liściastą aleją. Pod stopami piasek i nieco złota upadłych liści, a w górze — o, należało dobrze, wysoko podnieść głowę, aby kędyś, pod niebem, dojrzeć ostatnich gałęzi wynio-

słych wierzchołków, a wśród rozłożystych z obu stron konarów zaledwo wąski pas błękitu nad drogą przeświecał. W końcu ogrodu perystyl aleji otwierał się nagle na szeroki obraz równych, przestrzennych, zżętych pól, pełnych jesiennej tęsknicy, zdaleka las stał cichy, zadumany, a nad nim niebo zachodu na ciemnych obłokach malowało smugi z purpury i złota. Mrok zapadać począł; kilkusetletnie wspaniałe olbrzymy liściaste zdawały się wyżej jeszcze urastać, a cała głąb ogrodu bujna, rozrosła przeistaczać się powoli zaczęła w jakąś półmroczną świątynię.

Gdyśmy wracali aleją przyległą do oficyn, spostrzegłam człowieka, zdążającego ścieżką od domu ku oficynie wiodącej. Usłyszawszy głosy nasze, zatrzymał się, popatrzył ku nam i wnet śpiesznie zbliżać się począł. Średniego wzrostu, krępy, mimo siwych włosów trzymał się prosto; na czerstwej twarzy pyszniły mu się długie wąsy polskie, uszu niemal sięgające. Było coś w nim z typowego kaprala; marsowa twarz jednak, w miarę, jak odległość między nami malała, miękła, rozrzewniała się, aż gdy stanął przed nami, z żywych oczu jego trysła serdeczność niekłamanego uczucia. Szybkim ruchem pochylił się do ręki „pani“ i bez wielkiej uniżoności, a bardzo gorąco, kilkakrotnie ją ucałował. Poczem wyprostowany z niemałem rozradowaniem odpowiadać począł na jej troskliwe pytania o pana, o dwór i jego samego wreszcie.

Opowiadano mi jego krótkie, niezawiłe dzieje. Od młodych lat przydany do posługi paniczom, stał się wiernym, a nieodstępnym towarzyszem ich zabaw i przygód młodości. A kiedy rok 63 zabrzmiał szczękiem broni, stanął do pierwszego apelu i odbył całą insurekcję, całą ową epopeję bohaterską, przekradając się po gąszczach, po moczarach, na słocie, chłodzie, głodzie z krwawiącemi ranami, w nieustannem czuwaniu i w nieobliczalnych potyczkach, przy niedołężnej broni a liczebnym stosunku jednego — szczęśliwie, gdy na dziesięciu.

I w tych straszliwych pochodach, gdzie widmo męczeństwa szło nieodstępnym przewodem, gdzie każdy żołnierz z osobna i wszystkie oddziały razem szły naprzód, działały i żyły tym ogniem, który płonął we własnej ich duszy, a był ich wiarą i ich skrzy-



„U GROBU HETMANA“: GROBOWIEC ŻÓŁKIEWSKICH (zaraz po otwarciu).

dłami — w tych dniach walki powstańczej, rozpacznej, oślepłej, wierny sługa nie odstąpił swoich paniczów i może nie tylko dlatego, że ich odstąpić nie chciał, lecz że i jego duszę prostaczą, również jak ich dusze, porwał ów wielki płomień ideji — najpotężniejszej pani, królewskiej pani — wolności i bohaterstwa.

Jak łatwo przewidzieć, nie mogli nierozłączni trwać długo; gdy walka zagasła, na dalekie krańce rozrzucił ich los, nieprzebyte przestrzenie Wschodu i Zachodu legły pomiędzy nimi. Niebywałym prawie trafem udało się chłopakowi ujść cało ze wszelkich opałów. Po wielu miesiącach nieobecności zjawił się pewnego dnia do smutnego, zagasłego już domu. Z dawną życzliwością, może większą, niż pierwej, przyjęto go napowrót. I oto teraz, gdy wszystko z gniazda rozleciało się bezpowrotnie po świecie, on pozostał ze swym najmłodszym panem, czuwa nad chorym, służy mu, pielęgnuje go, sporządza niewykwintną zapewno strawę, nie przeczuwając w swej prostocie, że ta dań serca, którą panu swemu składa, przyczynia się może do podtrzymania tego ogniska ducha, który z tego zacisza wybitnem światłem na kraj promieniuje.

W niedługiej chwili zaprowadzono nas właśnie do owej kuźnicy, do głównego centrum całego domu, do pracowni pana domu. Obszerny był to pokój, o bielonych, jak wszędzie, ścianach, z oknami wychodzącemi na gąszcze zieloności, lecz w tym dużym pokoju było niemal ciasno. Ciasno od ogromnej ilości ksiąg, pism, map, papierów, zielników, nagromadzonych stosami, pokrywających ściany od góry do dołu, zalegających szafy, półki i pulpity, częściami podłogę. Pewien nieporządek miły w pełnym ruchu będącej pracy, może trochę gorączkowej, może zbyt pochłaniającej, uderzał atmosferą czegoś, co tętni i żyje. W pokoju panował zapach suszonych roślin i trochę jakichś preparatów chemicznych. Znaleźliśmy się zatem w pracowni uczonego. Do tych czterech ścian, do tego obszernego fotelu przed dużem biurem, od lat długich przykuło go kalectwo — skuć nie zdołało ducha, który stąd rzuca krajowi i światu, jako rezultaty długich prac swoich, wyrwane przyrodzie tajemnice prawd.

Kreśląc te urywkowe wspomnienia Niańkowa, nie miałam na myśli pisać biografji lub chociażby jakowychś przyczynków do biografji niestrudzonego pracownika — niech więc nie dziwi nikogo, że ze wspomnień o domu wyjmę obraz jego osi głównej, jego duszy — pana tego domu i że te kilka kwadransów, które w celi uczonego spędziłam z całem bogactwem ich wspomnień — zostawię dla siebie.

Tymczasem gosposia nasza, najmocniej przekonana, że już giniemy z głodu i pragnienia, przyzywała nas do jadalnego pokoju, gdzie duży stół okrągły zastawiono obfitym posiłkiem. Wkrótce byliśmy tam wszyscy zebrani.

Mieszkańcy ciepłych ziem i pięknych wieczorów południa nie rozumieją uroku, jaki posiadać może nasz cichy, ciepły, lampą rozjaśniony pokój rodzinny. Mówię rodzinny, gdyż ze wszystkich zakątków domu żaden, jak jadalny, nie skupia tak rodziny o jednej porze, dokoła jednego stołu, pod krąg jednego światła. Taki pokój jest miły i zaprawdę piękny. Trzeba tylko rozumieć to piękno, jak się rozumie piękno flamandzkich obrazów i krajobrazy śnieżnych równin, gdzie mimo bezbrzeża smutku i monotonji, mieszka duch piękna nieskazitelny i wielki, jak każdy bóg. Trzeba tylko umieć wyczuć to piękno. My tak rozumiemy urok naszych skupionych środowisk rodzinnych. Pokój jadalny — nasz wiejski — to to samo ognisko, które płonie w wigwamie indyjskim i w jurcie islandzkiej, które płonęło w wielkich kominach rycerskiego średniowiecza, które dotąd płonie w naszej wiejskiej chacie — to przybytek skupionych spraw, zajęć, zamiarów, wesela, lub łez lub gniewu, nadziei czy obaw, wszystkiego, czem żyje rodzina, jej przeszłość i przyszłość. I nie nadaremnie salę jadalną zdobią tak często portretami przodków. Jadalnia Niańkowa nie stanowiła i pod tym względem wyjątku.

Dziwnie było tu swojsko i utulnie na tych starożytnych sofach i krzesłach, przed tym stołem dużym, kręgiem lampy objętym, z szumiącym samowarem na boku, połyskiem szkła i porcelany na lśniąco białym obrusie. Obsiedliśmy stół barwną i gwarną gromadką; wesoły śmiech młody dźwięczał kaskadami, wzbijając się co chwilę nad tłumiony głos rozmów poważniejszych. Ze ścian, z czarnego płótna starych obrazów patrzyły na nas twarze prababek i ojców — tych, co już odeszli, a jednak tu są.

I ci, zebrani tu, weszli i ożywieni i tamci na płótnach uśmiechnięci, lecz spokojni, stanowili wyraźnie jedną rodzinę. W każdej z tych twarzy, żywych czy malowanych, uderzał niejeden rys wspólnego podobieństwa.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, najdawniejsza twarz, jaką tu przeniesiono na płótno, jest zarazem najmłodszą. Prababka kilku pokoleń jest tu przedstawiona jako młodziutkie dziewczę z kotkiem na ręku. I strój i dekoracyjny sposób malowania przywodzi na myśl portrety z XVIII. wieku. Dalej, to

już poważne matrony w wysokich czepcach, w wysoko zapiętych sukniach — tak różne od zbyt lekko osłoniętych postaci niewieścich Stanisławowskich czasów, z któremi spotkać się można w bogatszych domach litewskich.

Między pańskim dworem, a dworkiem średniej zamożności szlachcica, w zwyczajach przepaść musiała być ogromna. W portretach mężczyzn mniej się to zaznacza. Tu wszędzie mniej więcej jednaka sztywność stroju, o ile ten nie jest polskim, taki sam mundur wojskowy, mówiący tylko o rangach, poza tem ta sama powaga w obliczu i spokój, duma niekiedy, czasem mądrość.

Dalszy ciąg portretów oglądałam w sali balowej, dokądśmy przeszli zaraz po wieczerzy. Znowu ta sala owiała mnie swoim urokiem. Na naszą prośbę nie zapalono wielu świateł; jedyna lampa zaledwo rozświetlała tło dużego pokoju; po rogach, przy oknach, w zwierciadłach tulił się mrok. Ktoś usiadł do fortepianu i z półcienia rozbrzmiała stara, na starych strunach odegrana wpółrzewna, wpółwesoła nuta taneczna. Jakby na dane hasło porwały się z krzeseł młode panny i wnet po białej, ślicznej posadzce, w tem półświetle przyćmionem krążyć poczęły pary cichutko a lekko, z miękkiem falowaniem przejrzystych sukienek, z fruwaniem długich wstążek, z śmiganiem trzewiczków drobnych, szybkich. Z otwartych okien zaglądały ciekawie gałęzie bzów i akacji — ze ścian zamyślonemi oczyma patrzyły twarze prababek.

Śliczną była sala w tej chwili. Przeszłość z teraźniejszością zlewała się w tym półmroku w jakąś dziwną, słodką melodję, spokojną a śpiewną, niezamąconą żadnym ostrym akordem... A przyszłość? a przyszłość?...

Drzwi jadalnego pokoju otwarły się bez szelestu i ogromne psisko stare, kudłate, stanęło na progu. Popatrzyło na salę, kiwnęło parę razy na znak aprobaty włosistym ogonem i wymijając nader zręcznie tańczące pary, przeszło przez pokój. Spostrzegłszy mnie jedną, siedzącą w spokoju, zbliżyło się i poufale łeb mi na kolanach złożyło.

Stróżu ty stary i wierny, twoje poczciwe oczy nie znają zdrady; czujnem uchem i bystrym wzrokiem obchodzisz węgły domu dokoła, od lat wielu wierna twa służba przykuła cię do tego drogiego ci progu — ale czy spostrzegasz chmury, które nad dachem jego wzbierają, czy słyszysz gromy, które grzmią, coraz już bliższe? Któż zaręczy, że ta cicha, stara siedziba, która już tyle burz i tyle krwi i tyle błysków broni widziała, nie padnie teraz w proch i gruzy pod ciężką dłonią czasów, które przyjdą? A wtenczas ty, nieodstępny stróżu wierny, ostatni położysz się na zgliszczach, aby tu skonać.

Turkot zajeżdżającego powozu wyrwał mię z nawianych skądś dumań; trzeba było pożegnać śliczny, stary dwór i ogród cichy, senny i te drzewa stuletnie, splatające się nad dachem. Raz jeszcze uścisnęliśmy dłoń gospodarza, pożegnaliśmy gościnną gosposię i służbę — i żegnani, przeprowadzani, błogosławieni wyruszyliśmy w drogę.

Ciemna noc jesienna bez gwiazd i księżyca ogarnęła nas zewsząd. Czas jakiś jeszcze na zakrętach drogi błyskały nam światła, z okien dworu bijące, na ciemnem tle chmurzysk rysował się czarniejszy jeszcze masywny zarys ogrodu, lecz wkrótce i to zgasło, noc czarna pochłonęła nas w sobie. Konie kierowały się bardziej przywyknieniem i instynktem, niż świadomością swych oczu. Od czasu do czasu porywy wiatru zrywały się od pól i wyjąc posępnie, a siekąc drobnym deszczem z pod chmur wyrwanym, zalatywały nas z boku, przejmywały wilgotnym chłodem i duszę napełniały smutkiem.

Tem wyraźniej, tem czyściej rysował mi się w myśli jasny obraz Niańkowa. Z ciepłem swojem, ze swem zamknięciem w sobie, z szumem swych brzóz, z rumianą jaśnią zachodu — i tem tchnieniem nieskazitelności, którem nasiąkły jego ściany, z echami dawnych lat i męczeństw przebytych i czynów bohaterstwa tak wielkiego, jak wielkiemi są dzieje całej ziemi naszej, stał długo mi przed oczyma.

I takim, a nie innym, na zawsze w duszy mej pozostał.

Wanda Dalecka.

TEODOR MIANOWSKI.

Neoplatonik.

(MODLITWA DO PRA-JEDNI.)

Strumień tęsknoty szemrze w moim duchu,
Pragnę Cię ująć — a ujmuję mary
Twego oblicza; cień daleki, szary,
Wyczuty w tętnie serca, rytmie, ruchu.

Całym ku Tobie podany! Bezkreśnie
Wlewam w Twe głębie istnienia nurt wzdęty,
Ku Tobie-m jako struna wyciągnięty,
Którą ku Sobie wypinasz boleśnie!

Wiew Twój, jak kwasy gryzące, im hardziej
Me ciało trawi, truje i zwycięża,
Tem duch na loty wydziera się bardziej;

Tem mocniej sam się spręża i rozpręża
I całym sobą w blaski Twoje celny,
Wiecznym się czuje w żądzy nieśmiertelnej.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy.)

4. kwietnia. Usłuchałam rady panny Julji i żądałam widzenia się z doktorem. Cztery noce spędzone na stołku z głową wspartą na stole wyczerpały mą wolę; postanowiłam usłuchać dobrej rady i dziś rano powiedziałam strażnikowi, iż jestem cierpiącą i pragnę widzieć lekarza. O dziesiątej strażnik przyszedł mi powiedzieć, iż mam być zaprowadzoną do lekarza.

Pierwszy raz wychodziłam na więzienne podwórze, szłam więc wolno, by się wokoło rozejrzeć i dokładnie poznać miejscowość. Kudlik doprowadził mię do schodów, następnie zawołał strażnika z pierwszego piętra i zapytał go, czy mogę iść. Odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, dozwolił mi schodzić. Na pierwszem piętrze ta sama ceremonja. Przy drzwiach na dole czekał na mnie strażnik, mający mię odprowadzić do szpitala. „Pamiętaj tylko, wołał z okna Kudlik, byś panią zaprowadził do Piwońskiego“. Sądziłam, iż w ten sposób nazywa lekarza.

Zatrzymałam się u wejścia więzienia, niby dla zaczerpnięcia powietrza a głównie dlatego, żeby rozejrzeć się wokoło.

Było to pierwsze podwórze więzienne. Przy głównej bramie stał strażnik, wprost bramy w osobnym budynku znajdowała się kancelarja, z prawej strony pawilon politycznych więźniów, z lewej strony, bliżej ściany, jakieś składy, poza niemi drugi pawilon więzienny. Z pierwszego podworca jedna okratowana brama prowadziła na duży czworobok, po którym w tej chwili chodzili parami jedni za drugimi więźniowie kryminaliści. Wydało mi się, iż była ich chmara. Drugą bramą zaprowadzono mię na tak zwane kobiece podwórze. Zaraz na wstępie dojrzałam, co mnie tak strasznie męczyło nieraz; była to studnia, z której pompą wydobywano wodę; zardzewiałe żelazo wydawało zgrzyt podobny do brzęku kajdan.

Samo podwórze było długie i wąskie. Okna naszego pawilonu wychodziły nań. Długa, dojrzana przezemnie sień, prowadziła do suteren i stanowiła wejście do szpitala męskiego. Do mieszkań kobiet uwięzionych i kobiecego szpitala, umieszczonego na pierwszem piętrze, dokąd po brudnych schodach zaprowadzono mnie, wiodła sień druga. Stojący przed drzwiami policjant, zapytawszy mnie, czy przychodzę do doktora, uchylił drzwi i wpuścił mnie do dużej celi, zapełnionej łóżkami, zapowiadając, że doktor zaraz przyjdzie.

Z każdego prawie łóżka podniosła się jakaś wyżółkła, wynędzniała głowa, obrzucając mnie ciekawem spojrzeniem.

Zaduch panował straszny, mimo szeroko otwartego okna, wiała tu nędza i rozpacz.

Cofnęłam się ku drzwiom i w jednej chwili byłam w sieni.

— Zaczekam tu na doktora, rzekłam do policjanta, pytającego, dlaczegom wyszła ze szpitala. Wszak tam są chore.

— Tak, ale cóż to szkodzi — rzekł mi — pani tam będzie dogodniej, tu wiatr wieje, tam cieplej.

— Zostanę tu — powtórzyłam — tym chorym może być przykro, iż ktoś obcy w nich patrzy, mnie tu zupełnie dobrze.

Wzruszył ramionami — w tej chwili otworzyły się drzwi boczne i wyszedł w fartuchu doktor.

Musiałam przyznać, iż p. Julja miała rację. Bardzo przystojny młody mężczyzna, miał duże, głębokie oczy i łagodny, ujmujący wyraz twarzy; to też pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarł, stanowczo dawało mi otuchy, iż nie spotkałam w nim wroga.

— Pani życzyła sobie widzieć mię? — zapytał najczystszą polszczyzną, z lekkim ukłonem — czem mogę jej służyć?

Odkłoniłam się mu i prosiłam o łóżko.

— Czy pani jest chorą? — zapytał.

— Nie, jestem zdrową — odrzekłam — ale chciałabym uniknąć choroby i dlatego proszę pana o łóżko. Obawiam się wilgoci, a poza tem podłoga jest tak zimną, że i o zaziębienie nie trudno.

— Mam łóżka tylko dla chorych — odrzekł mi twardym, chłodnym tonem — nikt z więźniów nie dostaje łóżka do celi, chyba, iż jest chorym i nie może przyjść do szpitala.

— W kancelarji powiedziano mi jednak, iż to tylko od pana zależy, że skoro pan każe, łóżko będę miała.

— Mam łóżek stanowczo za mało dla chorych — przerwał mi — nikomu nie daję i wyjątków robić nie mogę.

— Wobec tego przepraszam, iż się odważyłam pana trudzić — odpowiedziałam również chłodno — i postaram się unikać tego na przyszłość.

— Pani dawno tu jest? — zapytał żywo.

— Od kilku dni, ale to chyba najmniejsze. Skinęłam głową i poszłam, zła na siebie, iż mogłam jakiegobądź urzędnika rosyjskiego prosić o cokolwiek.

Nie wiem, czy dla tego, żem była wzburzoną, czy też, że od tygodnia po raz pierwszy wyszłam na powietrze, ale na schodach więziennych zrobiło mi się ciemno w oczach, dostałam zawrotu głowy i gdyby mię strażnik nie podchwycił, padłabym, jak długa.

Zrobiło to pewne wrażenie, bo za godzinę weszła do mnie p. Julja; zastała mię szyjącą, rozmawiałyśmy ze sobą i opowiedziałam jej wizytę u doktora. Widziałam, iż przykrym jej był zawód, jaki mię spotkał.

— Bo należało pani powiedzieć, iż jest chorą — rzekła — bardzo by tam się poznał.

— Nie, nie mogę udawać choroby, to wstrętnem było by dla mnie samej — odpowiedziałam — dzięki pani, mam już prześcieradło, poszewkę, szal, no i sprobuję położyć się dzisiejszej nocy, tak jestem znużoną, iż zapomnę o myszach i innych stworzeniach, mogących mi dokuczać i może parę godzin prześpię się.

— Tu myszy niema — rzekła — i innych stworzeń niech się pani nie obawia, bo cela jest czystą.

— Dawno stoi pustką? — zapytałam.

Pokręciła głową.

— Zaledwo jeden dzień była wolną; była tu przez kilka miesięcy młodziutka panienka z Królestwa.

— No, to na brak lokatorów nie możecie państwo narzekać — zaśmiałam się — nie wie pani, kim była moja poprzedniczka?

— Nie — odpowiedziała — przychodziłam do niej dość często, ale ani imienia, ani nazwiska jej nie znałam; była tu dwa miesiące, w końcu matka złożyła kaucję i zabrała ją.

Zapytałam p. Julję o rozmaite porządki więzienne; od niej dowiedziałam się, iż naczelnikiem więzienia jest pułkownik Wierusz, Polak, że jest to bardzo dobry i uprzejmy człowiek i że w każdej ważniejszej kwestji należy do niego się zwracać, poza tem jest czterech pomocników naczelnika, kilku starszych i pisarz, a w końcu przeszło siedemdziesięciu policjantów, dlatego tak ich wielu jest na podwórzach. „I to wszystko nic nie robi, odpowiedziałam, bo przecie dziś uważałam, iż czterech zajętych było mą osobą, gdym szła do doktora, a wszak jeden wystarczyłby na upilnowanie bezbronnej kobiety, więc przyzna pani, że tu sporo próżniaków“.

— No, ale też i więźniów sporo — odrzekła — w kryminalnem więzieniu jest przeszło 850 ludzi.

— Nie może być! — zawołałam — i cóż ci nieszczęśliwi zrobili?

— Są to złodzieje, zabójcy, fałszerze pieniędzy i t. p. przestępcy — poza tem jest 133 kobiet.

— Też złodziejek?

— Przeważnie, są też dzieciobójczynie, zabójczynie i rozmaite włóczęgi bezpasportowe.

— Cóż z temi ostatniemi robicie? — zapytałam.

— Różnie bywa; ponieważ tu siedzą tylko mieszkańcy gubernji naszej, więc o ile się sprawdzi, skąd kto pochodzi, to się go odsyła do miejsca urodzenia, to jest do właściwej gminy, o ile znowu nie można tego uczynić, to naznacza się mu gdzieś pobyt, daje bilet i uwalnia, wreszcie siedzi tu.

— Czy pani uważa — zapytałam — iż to przebywanie w więzieniu dodatnio na nich wpływa?

Wzruszyła ramionami.

— Gdzie tam, wychodzą stąd gorsze, bo stare złodziejki uczą młode różnych znanych sobie forteli; w ciągu ośmiu lat, jak tu jestem, wciąż widzę recydywistki.

— Ale ja tu rozmawiam z panią — zawołała — a tymczasem one nic nie robią, trzeba iść dać robotę.

Zdaje mi się, iż p. Julja zlękła się, że za dużo mówiła.

(C. d. n.)

Karykaturzyści ze szkoły Norblina.

Orłowski, Oborski, Sokołowski istnieją tylko dzięki Norblinowi. On ich natchnął satyrycznym duchem, on ich nauczył otwartemi oczyma patrzeć na toczące się dokoła nich życie. A przedstawiało ono dziwny i śmieszny obraz. Z jednej strony dogorywał stary świat szlachecki, z drugiej powstawał nowy. Wśród tych nowych ludzi zjawiło się całe mnóstwo ludzi głupich, pustych, a dla nowej inteligencji otworzył się widok jedyny w swoim rodzaju; upadek polityczny, dziesiątki staroświeckich mamutów, setki bezmyślnych „fircyków“, żołdactwo i gmin, którego pozycja wzrastała, gdy ustawał własny rząd, a obcy chętnie się na nim opierał, widząc w nim swego sprzymierzeńca.

Co najlepszego w tej chwili wydało polskie malarstwo, to podanem było we formie rysunku, szkicu. Bo też na ten niepospolity widok trudno było patrzeć inaczej, jak z uśmiechem, a karykatura najchętniej trzyma się przy ołówku. Był w tem do pewnego stopnia jakby humor skazańców i jakże często ci karykaturzyści brali siebie samych lub siebie nawzajem za przedmiot karykatury. Wkrótce potem temat ten zjawi się w całej pełni i w literaturze, nieszkodliwie żartować będzie Fredro z „Cudzoziemczyzny“ i z „Pana Geldhaba“ — ale równocześnie i z pana Jowialskiego, Cześnika i Rejenta. Orłowski zaś jest kpiącym biografem wyginionej, zatabaczonej, mamutowej, kopalnej szlachty, kozaczyzny, „fircyków“ księży.

We wszystkich tych notatkach jest on niezmiernie szybki, pobieżny, prymitywny wprost. Bo chodziło mu o sytuacje, nie o artyzm i chętnie posługiwał się techniką to Norblina, to Dietricha, to Hogartha — poprostu dlatego, że wspomagają go ich techniki i sposoby w osiągnięciu wszechstronności, do której go pchał temperament, a w której go tamowało wykształcenie linoskoczka.

A jak szybko, brutalnie szkicował swe notatki, tak też szybko w życiu przechodził z sytuacji w sytuację. „Odkryty“ przez księżnę jenerałową Czartoryską, idzie do szkoły Norblina. Podczas ostatnich chwil Rzptej., szesnastoletni chłopak miesza się we walki jako ochotnik; ranny pod Zegrzem, wraca do Warszawy, by się leczyć; lecz zajechawszy do oberży pod rogatkami Wolskiemi — tam utknął i hulał. Wyciąga go stamtąd Norblin, z nim i z Płońskim jeździ do Nieborowa malować Arkadję. Orłowskiemu jednak spodobało się zajęcie linoskoczka i umknął do cyrku Włocha Chiariniego. Wesoło przedstawił się potem na akwareli w poznań. Tow. Przyj. Nauk, jak jedzie konno i bębni, zwołując ciekawych do cyrku. Nawiązuje potem stosunki z ks. Józefem Poniatowskim, bywa „pod blachą“ i w Jabłonnie. Potem z handlarzem rycin Fiettim wyjeżdża przez Gdańsk do Petersburga. Sytuacja materjału układa mu się świetnie, ma bliskie stosunki z dworem, znaczenie jego rośnie, znajomości ma pełno i na wieki nawet wchodzi do epopei mickiewiczowskiej w słowach Telimeny. Żeni się z właścicielką menażerji. Rozwodzi się. Ze zdrowiem jego jednak czemraz gorzej. „Zarodek choroby począł się już oddawna. Kiedyś, przed laty, mając romans z córką murarza, w sąsiednim domu mieszkającego, a wielce srogiego człowieka, nie mógł się do niej dostać inaczej, jak idąc po belce, pod którą wielka znajdowała się przepaść. W nocy zdradziła go, zbłądziła mu noga! Upadł na dół, na plecy. Już od tego czasu często miewał bole plec i bicie serca. Różne zmartwienia i uczucia późniejsze, wiek, gwałtowne przelęknięcie przy ratunku własnych dzieci od rzucającej się na nie rozszalałej krowy i grot, który niedawno z wysoka nań uderzył, o którym zamilczeć wiele mam powodów, który tak jego miłość własną jako artysty rozkrwawił, że tego wydychać nie mógł — rozwinęły najzupełniej długo przyczajoną w nim chorobę. Rozszerzone serce, rozszerzone żyły jego, żadnej przy dzisiejszym stanie nauki nie rokowały nadziei. Najwięcej, co zrobić można było, ostatni medycyny wysiłek leżał w tem, żeby umieć zmniejszyć trudne do zniesienia przypadłości tej nieszczęśliwej niemocy“. W 55 roku życia umarł.

Pracę jego kontynuował dalej Oborski. Czyli kpił dalej swym prymitywnym rysunkiem.

Karykaturuje kosynjerów, opasłych księży, chłopów, z namaszczeniem niosących chorągwie procesyjne, stare baby przy kuchni, jędze złośliwe. Czasami jednak w swych pomysłach jest trudno zrozumiały.

Wogóle karykatura ówczesna wybredną i zbyt subtelną nie jest. Nie ma ani takich pomysłów, ani takich sposobów wyrażania się, jak dzisiejsza — lecz to ją właśnie charakteryzuje, ta rubaszność i to prosto z mostu wypowiadanie rzeczy.

Płoński u początków swej karjery artystycznej również szedł ich śladem. A do grupy tej należy jeszcze i Sokołowski. Jako artysta, technik, był nieco, nie wiele wprawdzie, bardziej skomplikowany, niż tamci. Ale pojęcie karykatury u niego to samo, co u tamtych. Nie była wprawdzie karykatura jedynym

tych rysowników tematem, ale najbardziej za to dla nich charakterystycznym. Poza tem uprawiali swą rysunkową manjerą pejsaż, batalję. A jak smutnie skończył Orłowski, jak umarł Płoński z mgłą na duszy, tak i Oborski skonał w smutku a rozpojony Sokołowski, osamotniony i w nędzy pożegnał się ze światem.

Stąd robi ten ich rubaszny humor wrażenie humoru skazańców. *M. O.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Stanisław Brzozowski: Logika, Książki dla wszystkich, Warszawa, nakładem i drukiem M. Arcta 1905, napisał...

Wincenty Lutosławski: Logika ogólna czyli teorja poznania i logika formalna, nakładem Wszechnicy Mickiewicza w Londynie... Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. w Krakowie 1906.

(Dokończenie.)

Znacznie szerszą i większą jest L o g i k a o g ó l n a p. Lutosławskiego. W najnowszych czasach objawiło się przekonanie, że z podręczników logiki należy wyrzucić wstępy psychologiczne jako zupełnie nieprzydatne; tak wydał swoją logikę prof. Twardowski (Zasadnicze pojęcia Dydaktyki i Logiki, Lwów 1901). P. Lutosławski nie tylko wstęp psychologiczny uważa za konieczny, ale rozszerza ponadto materjał obszerną dygressją metafizyczną, przytem szczególny kładzie nacisk na ćwiczenia logiczne. W wykładzie swoim nie postępuje on z „przedwczesną systematycznością“, ale kroczy „luźnym tokiem logicznej gawędy“. Na samym wstępie określa autor stosunek logiki do psychologji. Psycholog bada myśli ze względu na ich empiryczne istnienie, logik określa myśli w stosunku do zdobycia prawdy (str. 4). Ta niejasno sformułowana różnica między psychologją a logiką staje się niejaśniejszą, gdy autor każe robić logikowi analizy rozumowań dokonywanych przez chemika, marynarza, adwokata, co należy właściwie do kompetencji psychologa. Następuje dygressja o p r a w d z i e, przyczem autor podaje historyczny rozwój tego pojęcia, twierdząc, że każda definicja prawdy była „słuszną na pewnym szczeblu rozwoju ducha“ i że dzisiaj zagadnienia metafizyczne znalazły r o z w i ą z a n i e o s t a t e c z n e. Jest to rzecz wiadoma chyba t y l k o p. Lutosławskiemu, który za taką niewzruszoną prawdę uważa swój o s o b i s t y eleuteryzm, będący modyfikacją monadologji Leibnitza. Zdaniem mojem należało podkreślić charakter subjektywny tego światopoglądu; nieobeznany bowiem czytelnik gotów przypuszczać, że to jest prawda metafizyczna ogólnie dzisiaj przyjęta. Gdybym chciał streszczać dokładnie całą metafizykę p. Lutosławskiego szeroko rozprowadzoną w dziele, musiałbym znacznie rozszerzyć ramy niniejszej recenzji; muszę jednak z naciskiem zaznaczyć, że przekonania metafizyczne autora, jakkolwiek może nie zawierają sprzeczności, to jednak nie mają ż a d n y c h znamion k o n i e c z n o ś c i i nie ma między niemi żadnego, na któreby się wszyscy powszechnie godzili.

Orjentowanie się w materjale ułatwił p. Lutosławski czytelnikom w ten sposób, że na szczytach poszczególnych stronic poumieszczał odpowiednie napisy, np: Ruch, czas i przestrzeń — starszeństwo czasu — oderwany czas — trójca zewnętrzna — pojęcie równości — przykład liści — jaskiniowcy umysłowi — jasnowidzenie djalektyków — błędy idealistów — kalejdoskop psich wrażeń — serje psychemów — ruch kul — osobistość i jaźń — ideał papieża — dobrowolność wcielenia doczesnego — przykład Mickiewicza — rozdwojenie osobistości — lustra i świadomość i t. d. i t. d. Widać z tego, że logika p. Lutosławskiego chce odegrać rolę jakiejś „silvae rerum“ lub encyklopedji wszelkich scjencji pełnej; a przecież gdyby nie te komiczne ekscentryczności, będące zupełnie nie na miejscu, książka dałaby się czytać znacznie poważniej.

Wyłowić z tych różności rzeczy właściwej logiki dotyczące niezmiernie trudno. Autor mówi np. o ograniczeniu zakresu pojęć, a równocześnie o jasnowidzeniu i telepatji, obok „przeciwstawienia“ mówi o Janie, który bił Piotra i t. d. i t. d. Właściwa logika zaczyna się dopiero teorją sądów w rozdz. VII str. 187, nie jest jednak konsekwentnie przeprowadzona. Autor podaje zalewie kilka reguł odnoszących się do syllogizmu. I na tem kończy się cała Logika.

Książka p. Lutosławskiego jest wymownem świadectwem zgubnych skutków, jakie pociąga za sobą wprowadzanie do ścisłej nauki pojęć doktrynerskich. Człowiek niefachowy książki p. Lutosławskiego nie zrozumie, fachowy zniecierpliwi się tem ustawicznem mieszaniem rzeczy pewnych z osobistemi. Wrażenie ogólne — to chaos, wśród którego nie można się dołowić ani jednej definicji, ani jednego dokładnego określenia. Przykłady zadań logicznych, podanych przez autora na końcu książki, są podobnie, jak całe dzieło, mętne, niejasne, a niekiedy naprawdę frapujące. Książka p. Lutosławskiego utwierdziła mnie w przekonaniu, że jeszcze sporo czasu upłynie, nim zdobędziemy się na zupełnie dobry i wyczerpujący podręcznik logiki.

T. M.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.